

## **JAREK SZULSKI** **„Zdarza się”**

Opowieść o szkole widzianej z perspektywy dwóch narratorów - młodego nauczyciela i ucznia, Dużego i Małego. Dorosły bohater zmuszony jest po trzech latach pracy opuścić szkołę, która zdążyła już nadać sens jego beztrószkiemu życiu. Perypetie Dużego i Małego nie skupiają się na wzajemnych relacjach. Pokazują, że życie toczy się na różnych poziomach i posiada wiele wymiarów, a ludzie jakże często bywają jednocześnie dobrzy i źli. Duży, będąc idealistą i mogąc sobie na idealizm pozwolić, ściera się ze szkolną rzeczywistością – na zmianę piękną, brzydką, miejscami żenującą, brutalną, nieprzyzwoitą, często groteskową i zabawną – gdzie w tle rozgrywają się potyczki dorosłych o władzę. Wcześniej czy później, niekonwencjonalny wychowawca musi stać się ofiarą narastającego konfliktu. Choć sam jeszcze niedojrzały, zagubiony i samotny („jak łódź bez wiosła, którego burza poniosła...”), Duży próbuje być wierny zakorzenionym ideałom i do końca dawać podopiecznym intelektualne i etyczne drogowskazy. Wszechobecny rozsądek i pragmatyzm nazywa rozumem bez skrzydeł. Drugi narrator, będący nastoletnim chłopcem ukierunkowanym przez niespełnionych rodziców na „sukces”, powoli odkrywa, że poczucie szczęścia polega również, a może przede wszystkim, na budowaniu serdecznych relacji z innymi ludźmi. Odnajduje w Dużym autorytet, choć wielokrotnie się przeciw niemu buntuje.

Elitarne szkoła ze swoimi jasnymi i ciemnymi stronami, pojawiający się klimat warszawskiej Pragi, błędy młodości, bolączki dojrzewania, niezapomniane wycieczki, zwykłe codzienne sytuacje i niezwykle lekcje, różne światy młodych i dorosłych, a całość przyprawiona sporą dawką humoru. To historia dla wszystkich, bo też wszyscy jesteśmy, bądź byliśmy uczniami. A ilu z nas pamięta imiona swoich nauczycieli?

Opowieść jest wielką pochwałą szkoły i zawodu nauczyciela (i to bez względu na to, że właśnie wśród belfrów wzbudza ona najbardziej gorące dyskusje). Za jej motto mogą służyć słowa dziadka Dużego – „Młodzi ludzie potrzebują Autorytetów, aby iść w tę samą stronę, dążyć wspólnie do wyznaczonego celu. Gdy w jedną stronę wybiera się Duży i Mały, Duży wskazuje kierunek, pomaga by Mały nie zabłądził. a Mały, jak to Mały, czasem dąsa się i ucieka, czasem przechwala, a czasem trzyma, dającą mu poczucie bezpieczeństwa rękę Dużego”.

### **FRAGMENTY:**

#### **DUŻY**

Czy moja praca w szkole to pasmo nieustających sukcesów? Czy jestem półbogiem? Czy mam może aureolę wokół swojego głupiego łba? Mam? Nie mam. Za to mam trochę farta, bo rodzina, bo pieniądze, bo nawet dziadek wypasiony i tak dalej. Ale bez przesady. Porażki są wpisane w zawód nauczyciela. Nigdy nie jest tak, że wszyscy uczniowie „kupują” dowolnego belfra. Nawet jeśli znakomita większość go zaakceptuje, nawet jeśli go pokocha, zawsze znajdzie się kilka osób dla których będzie on zupełnie nieciekawym typem, który prowadzi upiorne lekcje i bez uzasadnienia ciągle się czegoś czepia. Dobrze, jeśli w klasie są malkontenci. Może dzięki nim najlepszy nawet nauczyciel nie wpadnie w samouwielbienie. Próbuje wam zatem powiedzieć, że nie wszystko w szkole mi się udawało. Kiedy wchodziłem do pokoju nauczycielskiego wcale nie powalałem koleżanek i kolegów profesorów swoim pedagogicznym blaskiem, a i uczniowie jakoś nie wstawali z rękami do góry krzycząc „alleluja” na wieść o kolejnym moim pomysle. Wielokrotnie próbowałem poprowadzić wybitną lekcję, a wychodziło wybitne dno, beznadzieja. Miewałem przy tym momenty zwątpienia w sens pracy w szkole. Często odnosiłem wrażenie, że moi uczniowie byłiby równie

mądrzy i wspaniali, gdyby mnie nie było. Czuję się niepotrzebny. Czemu o tym wszystkim nie rozprawiam? Bo nie chce. Przywilejem opowiadającego jest pomijanie tematów niewygodnych. Świadomie zatem pomijam swoje porażki, ale o jednej wspomnieć muszę, gdyż odczułem ją szczególnie boleśnie. Przykra sprawa (...)

## MAŁY

(...)Po trzech latach mieszkania pod jednym dachem, Iwonę i Zdzisława połączył sakrament małżeństwa. Ślub oraz dwudniowe wesele zorganizowano w rodzinnej wsi ojca, kilkanaście kilometrów na północ od Radomia. Podróż poślubna była niczego sobie. Rodzice spędzili dwa tygodnie w Jałcie, malowniczej miejscowości na półwyspie krymskim, mającej już należne miejsce w historii. Iwona marzyła o dziecku. Wszystko wskazuje na to, że zostałem poczęty właśnie na okoliczność krymskich wakacji lub też niedługo później. Dzieci zmieniają sposób życia małżeństw w sposób diametralny. Iwona znalazła się w swoim żywiole i jak prawdziwa matka z rodziny ssaków, gotowa była poświęcić wszystko dla dobra dziecka. Co więcej, ona chciała poświęcić wszystko dla dobra dziecka. Zwłaszcza, że lekarze poinformowali ją o niezmiernie mało prawdopodobnej możliwości ponownego zajścia w ciążę. Stało się więc jasne - będę jedynym dzieckiem swoich rodziców, chyba że kiedyś postanowią adoptować jakiegoś porzuconego noworodka, co biorąc pod uwagę przeszłość matki, wydawało się wielce prawdopodobne. Ewentualnej adopcji skutecznie sprzeciwiał się jednak ojciec, który nie miał zamiaru chować dzieci wyprodukowanych po pijaku przez debili z marginesu społecznego. Bywa.

Urodziłem się jak należy i mimo niewielkich rozmiarów, niemal natychmiast skupiłem na sobie całą uwagę rodziców, zwłaszcza matki. Rozmnożona i dzięki temu wreszcie spełniona pani Iwona, skoncentrowała się na zaspokajaniu moich licznych potrzeb. Ojciec przyglądał się temu wszystkiemu z boku i raczej nie uczestniczył w przewijaniu czy też karmieniu piersią. Raz na jakiś czas brał mnie na ręce i podnosił do góry, ciesząc się zapewne, że ma potomka i tyle. To wszystko, na co go było stać w okresie mego niemowlęstwa. Irytujące ojca, urządzone przeze mnie nocne historie, wprowadzały w dobry nastrój matkę, która z radością przystępowała do akcji i można było odnieść wrażenie, że nieprzespanie kolejnej nocy za sprawą wrzeszczącego bachora, sprawiało jej niezrozumiałą satysfakcję. Matka pochodziła jakby z innej bajki. To był jeden z najszcześniejszych okresów w jej życiu. Wspominała, że mogła całą noc siedzieć przy łóżeczku i patrzeć na to jak oddycham, delektować się moim spokojnym snem. Prawdę mówiąc, to trudno mi zrozumieć tak duże zainteresowanie matki kimś, kto ma nieco ponad pięćdziesiąt centymetrów, ciągle leży, a jego aktywność sprowadzała się do jedzenia, ryczenia oraz niezwykle częstego wydalania za pomocą jednego z kilku otworów (ponoć szukając różnych dróg ujścia dla niepotrzebnych w ciele substancji, na zmianę srałem, sikałem, smarkałem i rzygałem, urozmaicając tym samym czas rodzicom i dostarczając wielu nieznanym wcześniej wrażeń). Mało frapujące, prawda? Ale nie dla mojej matki. Ta była szczęśliwa mogąc przewijać potomka kilka razy dziennie, wypychać do mordy jakieś

niezidentyfikowane kleiki i tulić, tulić, kołysać i tulić. Dawała mi to, czego sama nigdy nie zaznała. Przestała dbać o siebie, dbała jedynie, aby to mnie niczego nie brakowało. Była najlepszą matką pod słońcem. Aż za dobrą. W domu zaroilo się od miniaturowej garderoby, pieluch, pudrów na otarcia, kremów nawilżających, zabawek, klocków. Nietrudno było wdepnąć niechcący w zalegającą na dywanie kaszkę, którą z upodobaniem wypluwałem przed siebie przy każdej próbie wprowadzenia mi jej do gardła. To był trudny czas dla ojca, który przestał być jedynym obiektem kultu mojej matki. Może nawet stał się zazdrosny o drugiego, maleńkiego mężczyznę, któremu jego żona poświęcała praktycznie większość wolnego czasu. Dodatkowo z równowagi wyprowadzał go fakt, że potrafiłem wydrzeć ryja w najmniej odpowiednich momentach, na przykład kiedy ojciec rozmawiał z szefem, bądź kiedy w telewizji podawano wynik ważnego meczu, którego przypadkiem tatuś nie widział. Bywa. Przykro mi, ale nie doceniałem wówczas znaczenia piłki nożnej w życiu dorosłego mężczyzny. Jeśli chcecie wiedzieć, to nawet dziś nie rozumiem ogólnoswiatowego zachwytu nad tym głupawym sportem. Co do szefa zaś, to trzeba wam wiedzieć, że kilka lat temu mój tatuś-nauczyciel przekwalifikował się na tatusia-urzędnika. W jakiś nieznanym mi sposób (twierdził, że to dzięki wstawiennictwu kolegi, choć ja byłem pewien, że nie miał kolegów, którzy mogliby się za nim wstawić) otrzymał posadę w Ministerstwie Edukacji. Od tego przełomowego momentu, ojciec zachowywał się co najmniej tak, jak gdyby został premierem rządu. W rzeczywistości pełnił najpewniej funkcję zastępcy inspektora do spraw mało istotnych, choć tak naprawdę nie do końca wiedziałem na czym dokładnie polega jego praca. Od dnia objęcia stanowiska urzędniczego głosił gdzie popadnie, że w szkołach pracują jedynie nieudacznicy i najbardziej to dziwi się sobie, bo przepracował jako belfer ponad dwadzieścia ostatnich lat. To była widoczna i istotna zmiana w sposobie myślenia ojca. Nie zmieniła się za to jego opinia w innej sprawie, a mianowicie takiej, że zarówno poprzedni szef (dyrektor szkoły) jak i obecny (dyrektor departamentu) byli idiotami, niekompetentnymi fagasami którzy dostali stołek jedynie dzięki niejasnym koneksjom na wyższych szczeblach władzy. W gruncie rzeczy filozofia ojca była prostsza niż mogłoby się wydawać. Chodziło o to, że każdy kto znajdował się na wyższym stanowisku niż on, jest złodziejem i oszustem. W swoim nowym zakładzie pracy, wyłączając sprzątaczkę i ochroniarzy, ojciec miał zatem do czynienia z samymi krętaczami i upośledzonymi umysłowo wałami. Bywa. (...)

## DUŻY

Wraz z rozpoczęciem roku szkolnego, nowa i lepsza dyrekcja przystąpiła ochoczo do naprawiania podległej placówki. Sandra zaczęła zachowywać się tak, jakby dostawała prowizję od wkurzania wszystkich nauczycieli. Biegała po korytarzach i pilnowała punktualnego stawiania się profesorów na lekcję. Niezdyscyplinowanych zapisywała skrętnie do czarnego zeszytu i jeśli dało radę, robiła przy tej okazji burę na oczach uczniów. Zepsuta młodzież zauważyła, że w ich budzie dzieje się coś nie halo. A ciało pedagogiczne, chcąc ratować dodatki motywacyjne, wybiegało z pokoju nauczycielskiego jak stado wystraszonych byków, równo z dzwonkiem, a nawet wcześniej. Wreszcie

ktoś zabrał się za to rozbestwione, salonowe towarzystwo. Innowacyjne regulacje objęły niemal wszystkie sfery codziennego belferskiego życia. Dotychczasową bezsensowną aktywność profesorów ograniczono skomplikowanymi procedurami. Aby odbić coś na ksero, należało pobrać druk z pokoju na górze, zdobyć podpis dyrektora (którego często nie było w szkole), po czy wrócić na górę i modlić się, aby kopiarka zadziałała. Ponieważ cała czynność powielania czegokolwiek zajmowała minimum pół godziny, większość belfrów rezygnowało z walki o papier. Dzięki temu sprytnemu zabiegowi, zlikwidowano tłok przy kserografii, tak do niedawna obleganym. Podobną metodę zastosowano w przypadku innych przejawów inwencji. Aby wykonać jakikolwiek ponadprogramowy i nadobowiązkowy ruch w szkole, należało mieć pisemną zgodę dyrekcji. Dzięki temu większości nauczycieli odechciało się robić cokolwiek. W szkole zapanował więc spokój. Zmieniono również radykalnie sposób prowadzenia rad pedagogicznych. Od tej pory, narady nauczycieli miały stać się tak potwornie nudne, że nudniejsze co można sobie wyobrazić, mogło być jedynie spotkanie z agentem ubezpieczeniowym opowiadającym o polisach na życie. Najnowsze rady trwały minimum trzy godziny, a większość czasu wypełniały pokazy wykresów, słupków, nic nie wnoszących liczb oraz zapowiedzi kolejnych, jeszcze lepszych badań na szkolnym organizmie. To pozytywna wiadomość, bo zdążyłem już polubić ankiety. Nauczyciele, dostając po dwóch godzinach oczopląsu, ani myśleli zadawać pytania czy też nie daj Boże prowadzić dyskusje. Po trzech godzinach patrzenia na świętą dyrektorską trójcę, za wszystkim głosowano na „tak”, aby tylko wreszcie móc iść do domu. Kopyto zatrudnił w Piaście własną żonę, po czym ogłosił z wielką pompą, że od tej chwili postawimy na wychowanie. My, to znaczy cały personel szkoły i dwa kopyta to jest Kopytowie. Wspaniale, pomyślałem. Na pierwszy ogień poszła konferencja – organizowana przez ostatnie dwa lata siłami moich przyjaciół oraz uczniów i absolwentów Piasta. Ślepe i zupełnie niezorientowane w sytuacji grono osób, niestety liczne (w tym grupa profesorów z Uniwersytetu Warszawskiego), twierdziło zupełnie niesłusznie, iż impreza ta była dumą szkoły. Jasne, zwłaszcza ta cała maskarada z czerwonymi nosami. Szczęśliwie, dyrekcja zareagowała w sposób zdecydowany, zapraszając mnie do gabinetu i mówiąc, że konferencja jest... za duża i zupełnie Piastowi niepotrzebna. Co więcej, organizowana przez zdegenerowanych absolwentów, służyła przecież wymianie poglądów pomiędzy piastowską młodzieżą, a ich rówieśnikami z innych szkół. A wszystko przy udziale i pod okiem wybitnych przedstawicieli nauki, którzy okazali się widać nie dość wybitni. Prawdą jest, że już sama idea wymieniania czegokolwiek, a zwłaszcza poglądów, nie mieściła się w głowie i wzbudziła podejrzenia czujnych władz szkoły. A poza tym, jeśli idzie o poglądy, to na podstawie przeprowadzonych ankiet ustalono, że dyrekcja ma akurat najlepsze i w związku z tym, z nikim nie zamierza się wymieniać, gdyż może być stratna. W ten sposób, stosując nowoczesne metody statystyczne, ucięto wszelkie dalsze dywagacje i bezzasadne w warunkach szkolnych dyskusje. Na podstawie tych samych ankiet ustalono także brak sensu wymieniania czegokolwiek (poglądów, uprzejmości, zdań itp.) z szemranymi organizatorami konferencji i pozostawiono ich samym sobie. Za pozbyciem się konferencji ze szkoły przemawiało zresztą wiele innych druzgocących argumentów, z

którymi nie sposób polemizować. Oto jeden z wielu przykładów. Pełni obłudy organizatorzy bezczelnie twierdzili, że za pracę przy imprezie nie pobierają wynagrodzeń (podobnie jak wszyscy wykładowcy), podczas gdy powszechnie wiadomo, iż byli znanymi kombinatorami, złodziejami, zajmującymi się w wolnych chwilach deprawowaniem młodzieży. Wiadomość o tym, że konferencji nie będzie, obiegła całą szkołę w ciągu zaledwie jednego dnia. Uczniowie, zdziwieni podobnym postawieniem sprawy, wysłali do dyrekcji własnych mediatorów, to jest przedstawicieli samorządu. Pani Ptaszek kazała im spadać i nie zawracać głowy pierdołami. Master Kopyto natomiast, zastosował wobec nieznośnych młodych ludzi zręczny manewr taktyczny, mówiąc im, że konferencja się odbędzie, a sobie samemu, że jednak nie. Zagranie godne wielkiego stratega. Jednocześnie z odwołaniem konferencji, zrezygnowano z prowadzenia przygotowań do happeningu z czerwonymi noskami, dając tym samym jasny i czytelny sygnał do podjęcia kolejnego kroku, to jest ostatecznego zlikwidowania poczucia humoru, panoszącego bezkarnie się po całym Piaście. Dla podkreślenia powagi sprawy poinformowano, że w niedalekiej przyszłości, szkoła zostanie zamieniona w jedno wielkie muzeum. Ekspozyty, chowane do tej pory w archiwum, pojawią się na korytarzach i w stołówce. Na dobry początek, Kopyto wraz z małżonką, własnoręcznie przygotowali wystrój głównego holu Piasta, wycinając w godzinach pracy piękne ozdobne chmurki oraz drukując zdobione kartki papieru z naniesionymi informacjami o coraz bogatszym życiu szkoły i licznych sukcesach osiągniętych przez uczniów. Co do nauczycieli zaś, to dyrekcja zastosowała wobec nich niezwykle skuteczną metodę dyscyplinującą. Ten prosty i w swojej prostocie genialny pomysł, polegał na ciągłym dawaniu do zrozumienia, że władza ma na wszystkich haka i dysponuje wiedzą wystarczającą do skompromitowania niemal każdego pedagoga. Skąd, nie wiadomo. W ankietach wyszło, rodzice dzwonią, mówi się na mieście – podobne frazy profesorowie słyszeli pod swoim adresem niemal codziennie. A Sandra, moja niegdysiejsza koleżanka obdarzona imponującym biustem i niezwykle dyskretną inteligencją? Cóż, do niedawna nie tracąca żadnej okazji, aby bezlitośnie skrytykować nowego dyrektora, w dniu otrzymania nominacji, z dnia na dzień, stała się bezrefleksyjnym wyznawcą rewolucyjnych teorii Zenona Kopyto i jego małżonki. Jest mi przykro, że oszalała. No ale co mogłem zrobić? Dowiodła, iż punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Nie ona pierwsza.

Zbliżał się nieuchronnie okres organizowania klasowych wigilii. Dla mnie miało to być ostatnie tego typu świąteczne spotkanie z podopiecznymi. Rzecz jasna, Maleństwa nie wyobrażały sobie wigilii innej, niż całonocna. Poszedłem do Sandry zarezerwować salę multimedialną. Rutynowa procedura przewidująca zgłaszanie dyrekcji wszelkich imprez organizowanych na terenie budynku szkoły. Nie spodziewałem się kłopotów. Nie kryłem więc zaskoczenia, kiedy Sandra, po konsultacji z Kopytem, odmówiła zgody na całonocną wigilię dla mojej klasy. Powód? Prozaiczny. Chodzi o to, że inni nauczyciele mają żony, rodziny, a zatem nie mogą sobie pozwolić na poświęcenie całej nocy dla młodzieży. A uczniowie już tacy są, że kiedy słyszą, iż jakaś klasa zostaje na noc, to oni też chcą. Aha, czyli to moja wina? Czy już powinienem zacząć przeproszać za ubiegłoroczne wigilie, które kończyły się standardowo dopiero nad ranem? Czegoś tu nie rozumiem. Dociera do mnie, że niektórzy

profesorowie są żonaci i że wszyscy żonaci są najbardziej żonaci przed Bożym Narodzeniem, ale jeżeli poświęcenie jednej nocy dla podopiecznych, na tydzień przed świętami, stanowi problem nie do pokonania, po jaką cholereę ci ludzie podejmują się w ogóle roli wychowawców. I co to ma wspólnego ze mną? (...)